



MARIA KONOPNICKA

Podług księgi

MARIA KONOPNICKA

I. Podług księgi

Był dzień jesienny, cały złoty i modry od gasnącego słońca i cichej pogody. Około trzeciej po południu przed gmachem więziennym zatrzymał się wóz z kapustą.

— Bra-ma!... — Bra-ma!... — krzyknął przeciągle parobek, siedzący na nim w czerwonym lejbiku¹ i samodziałowym² spencerze³.

Nikt się jednak z otwieraniem bramy nie kwapił.

— Bra-ma!... — krzyknął znów parobek i zaklął, bo mu się konie kręcić zaczynały.

Chwilę trwała cisza. Nikt bramy nie otwierał.

— *Nada głośniej*⁴ — przemówił flegmatycznie żołdat⁵, stojący przed budką na warcie.

— Bra-ma!... — wrzasnął parobek z całej swojej siły.

— A prr!... A gdzie!... — dodał, ściągając batem lejcową⁶, która mu się zaplątała w półszorkach⁷. — Ażeby cię!

Zeskoczył po orczyku⁸ na ziemię. Okręcił lejce na kłonicy⁹ i pięścią jak taranem zaczął walić w bramę.

Rozległo się wielkie echo po sklepionym wnętrzu, przez długą wszakże chwilę nikt nie przybywał.

Zaczłapały wreszcie jakieś ciężkie kroki, a razem ze zgrzytem klucza, obracanego w zamku, dał się słyszeć głos cierpki i gniewliwy.

— Czego walisz! Czego walisz! Czego próżno pazury obijasz? Jak mam otworzyć, to i bez twego walenia otworzę!

— A niechże was, z takim otwieraniem! A prr!... A prr... — wołał parobek, biegnąc znów do koni, które w bok z wozem skręciły.

Chwycił lejce i, wywijając batem nad końmi, wjechał w bramę, której wierzeje z łoskotem uderzyły o ściany, a z bramy w podwórze do połowy woza. Nie mógł dalej, bo zawaliły mu w poprzek drogę skrzynie od kartofli. Zaopatrywano się na zimę i to spowodowało pewne zamieszanie w cichym zazwyczaj dziedzińcu więziennym.

Zamieszanie to żywo zajmowało aresztantów, wypuszczonych właśnie do ogródka na południową przechadzkę. Właściwie mówiąc, nie była to przechadzka, ale raczej kręcenie się w kółko i popychanie wzajemne, gdyż miejsca bardzo mało, a więźniów stu przeszło. To, co się nazywało ogródkiem, także niewiele do ogrodu było podobne. W jednym z kątów podwórza, obudowanego dokoła murami więziennego gmachu, niskie drewniane sztachety grodziły szczupły kawałek gruntu, podzielony dwiema krzyżującymi się uliczkami na cztery równe prostokąty. Najdłuższa, załamana w rogach ogródka, drożyna biegła pod sztachetami do furtki, na wprost której w przeciwnym kącie stała tak zwana altana, rodzaj okrągłej, przejrzystej, z wąskich deszczulek zbitej szopy, z czterema wewnątrz ławkami i podtrzymującym krokwie słupem.

Trochę młodocianych drzewek trzęsło w słońcu ostatkiem złotych liści, a choć nie było najłżejszego wiatru, liście te padały cicho na zarosłe zielskiem rabaty i ścieżki, twar-

Więzienie, Ogród, Więzień,
Kondycja ludzka

¹lejbik (daw.) — górna część munduru. [przypis edytorski]

²samodziałowy — zrobiony z samodziału, czyli ręcznie tkanego lnu lub wełny. [przypis edytorski]

³spencer (daw.) — krótka kurtka. [przypis edytorski]

⁴Nada głośniej (z ros.) — Trzeba głośniej. [przypis edytorski]

⁵żołdat (pogard.) — żołnierz, zwłaszcza rosyjski. [przypis edytorski]

⁶lejcowa (daw.) — klacz, idąca w lejcach. [przypis edytorski]

⁷półszorek (daw.) — rodzaj dawnej uprząży. [przypis edytorski]

⁸orczyk — tu: drążek przy wozie, służący do zaczepienia pasów i łańcuchów od uprząży. [przypis edytorski]

⁹kłonica — drąg, przytrzymujący drabiny albo skrzynię wozu konnego. [przypis edytorski]

do stopami więźniów ubite. Przy zbiegu prostokątów stało parę krzaków bladoliliowych astrów, które zdawały się obracać gwiaździste swe oczy za tymi nędznymi postaciami, co się po uliczkach snuły.

Aresztanci chodzili po dwóch, po trzech, na pięty sobie niemal następując. Większa ich część miała piersi zapadłe i pochylone grzbiety, na których siwe więzienne kapoty wisiały jakby na kółkach.

Najcharakterystyczniejszą cechą więźnia jest jego postawa. Przy pewnej wprawie można po niej od pierwszego rzutu oka poznać długość odcierpianej kary, tak właśnie jak się po zębach wiek konia podaje.

Jednorocznym różnią się pomiędzy sobą znacznie chodem, ruchem rąk i ramion, sposobem trzymania głowy i noszenia siwego kubraka, sztywnością szyi, nawet trybem wykręcania się na zawrotach drogi. Drugorocznym mają wszyscy nagięte grzbiety i kark jakby wyłożony naprzód z kołnierza.

Różnice ruchów zacierają się pomiędzy nimi, najsilniejsi tylko zachowują właściwą sobie postawę jeszcze w trzecim roku. Po tym terminie wszyscy się upodabiają. Człowiek przestaje istnieć jako indywidualność, a zamienia się w cząstkę tej szarej, bezbarwnej, bezkształtnej masy, która się nazywa ludnością więzienną. Nogi więźnia stają się wtedy kabłąkowate i wątłe; ustawione przy sobie stopy rozwierają się pod kątem coraz prostszym; naprzód wygięte kolana drżą nieraz, widocznie, chód bywa ciężki, wlokący się, ruchy niedołężne, powolne, a ręce wiszą po obu bokach ciała jakby nadmiernie wydłużone i wyruszone ze stawów. Rzecz dziwna, przeobrażeniu temu podlegają głównie mężczyźni. Kobiety wszystkie prawie zachowują nienaruszoną odrębność swoją przez długie lata i dopiero najstarsze, po wielokrotnych powrotach dogasające tu aresztantki, ulegają niwelującym wpływom więziennego życia.

Po ruchach i postawie idzie cera. Ta w pierwszym roku bywa blada, śniada, krwista nawet, podlega momentalnym zmianom zabarwienia i w ogóle ma silniejsze, cieplejsze tony. W drugim roku więdnie i żółknie bardzo szybko, skóra wątłeje i nabiera pergaminowej suchości i martwoty; w trzecim rzuca się na nią jakiś cień zielonkawy, zwłaszcza około uszu, ust i oczu; niekiedy barwa żółta, oleista cień ten przemaga, szczególnie na skroniach i czole, które się nieraz tak świeci, jakby napszczone tłuszczem. W dalszych latach twarz więźnia staje się rozmiękła, przybiera barwę ziemistą i jest wybornym dokumentem do słów genezy, opiewających, iż człowiek ulepiony został z gliny i z mułu ziemi. Zmianom tym podlega większość kobiet na równi z mężczyznami.

Trzeciorzędną w charakterystyce zewnętrznej więźnia cechą jest wyraz oczu, spojrzenie. U pierwszorocznych bywa ono zwykle ruchliwe, latające, niespokojne, gorączkowe. Zapalają się w nim i gasną błaski niespodziane, iskry przelotnych wzruszeń, obaw, pomysłów, zalegają je cienie nagle, głębokie, z siwych czyniąc źrenice zielone, z modrych — czarne. W drugim roku źrenica więźnia blednie, męci się, zeszkliwia i upodabnia do stojącej w błotnym dole wody. W trzecim matowość spojrzenia wzrasta z dniem każdym, oczy kołowacają i jakby zaokrąglają się w orbitach, a z głębi ich wyziera ogólne zniedołężnienie albo zwierzęca złośliwość. Z biegiem czasu rozwija się to aż do idiotyzmu w jednym kierunku, aż do prawdziwie małpiej przebiegłości w drugim. Idiotyczne spojrzenie godzi się bardzo dobrze ze spleśniałą jakby cerą więźnia i zwykle z nią chodzą w parze. Bywają wszakże wyjątki, a kiedy w gliniastej, rozmiękłej twarzy zagorzeją źrenice posepnym, czerwonym ogniem, zjawisko to bywa straszne i zwykle się kończy jakąś katastrofą.

Takim właśnie spojrzeniem palającym patrzył w otwartą, nieco widną z jednego kąta w ogródku bramę młody stosunkowo więzień, którego wszakże postawa i cera zdradzały dawnego już aresztanta.

Na oko widać było, że siedzi już najmniej cztery, pięć lat może. Musiała to być jednak organizacja wyjątkowo silna, gdyż prosty dotąd i sztywny kark unosił wysoko nad inne jego ogoloną i czarniawą głowę.

W tej chwili więzień był pochylony nieco ku sztachetom; szeroko rozwarte nozdrza zdawały się wietrzyć powiew ulicy z niepohamowaną żądzą, na szyi pulsowały grube, napięte żyły, w półotwartych ustach widać było zęby drobne, ostre i niezwykle białe. Jedną z rąk wsunął za kubrak i koszulę na pierś, jakby chciał poczuć ciało żywe albo też przynieść garścią serce, wstrząsane silnym, głuchym biciem.

Więzień, Kondycja ludzka

Więzień, Kondycja ludzka,
Ciało

Wzrok

Więzień, Wolność

Drugą rękę wparł między sztachety, aby się łatwiej utrzymać na kabłąkowatych, widocznie w tej chwali drżących nogach.

Bacniejszy spostrzegacz poznałby z łatwością, że więzień przebywa ten punkt krytyczny, w którym cierpienie nie przełamało woli i energii, staje się na dłużej wprost nieznośne, niemożliwe. Potąd — a nie dalej — krzyczy coś w ludzkiej istocie, która doszła do takiego krytycznego punktu; a prawodawstwo kryminalne nigdy dość szeroko uwzględnić, nigdy dość baczenie rozpoznawać nie może tego momentu psychicznego.

Oparty o sztachety i wychylony z jakąś drapieżną pożądlivością na podwórze więzień znany był powszechnie pod nazwą Cygan.

Cyganem zwali go towarzysze, strażnicy, kancelaria, nawet w księdze, gdzie zapisywano zarobki, figurował pod tym nazwiskiem; z czasem zapomniano zgoła, czy miał jakie inne, a i on sam zdawał się nie pamiętać o tym. Ponieważ stanął, ci, co szli obok i za nim, stanęli także. Powyciągały się szyje, powznosiły ramiona, jedni się wspinali, drudzy szturchali stojących przed sobą, inni jeszcze przestępowali z nogi na nogę w miejscu, jak to czynią zamknięte w klatkach zwierzęta. Spojrzenia skupiały się w dwóch punktach. Jedni parzyli na wóz, konie i kapustę, drudzy na niańkę od pana sekretarza, która z uśpionym na kolanach dzieckiem siedziała w progu oficyny, kołysząc się z boku na bok i nucąc bezbarwnym głosem jedną z tych melodii, którym katarynki szeroką popularność nadały. Tuż przy niej stała z szaflikiem¹⁰ w rękę Janowa, kucharka, i także na wóz patrzyła. Nieopodal bawił się chłopak stróża. Wielkie głowy, jedne czubate, podłużne, zielonkawe, z lekko postrzępionymi brzegami, zdawały się pękać i otwierać jak tulipanowe kielichy, nie mogąc powstrzymać naporu rozrosłych ośrodków swoich; inne lśniące, białe, płaskie, szczelnie srebrzysto żyłkowanym liściem obciągnięte, leżały na wozie ważne, ciężkie, świecąc z dala jak śnieżne kłęby i skrzypiąc jędrnie za każdym dotknięciem. Pomiędzy nimi tkwiły tu i owdzie na wysoko obnażonych głąbach lekkie i puste szafki z brunatno poplamioną powierzchnią, niewiele co warte i targu, do pełnych kop dodane.

Ci, co patrzyli na niańkę, nie mniej mieli piękny widok. Dziewczyna była młoda, rosła, a jej rozkwitłe kształty uwydatniała lekka perkalowa¹¹ spódnica i takiż kaftan. Ciężki żółtawy warkocz spadał jej nisko na kark, a mała różowa chusteczka nie pokrywała białej, lekko słońcem ozłoczonej szyi. Rytmiczny ruch, jakim się kołysała z boku na bok, dodawał jej jakby sennego wdzięku.

Cygan nie patrzył wszakże na niańkę, ani na kapustę. Gorejące jego oczy, zrazu w czełusciach bramy utkwione, obiegały teraz podwórze, oblatywały drzwi i okna w wewnętrznych murach więzienia, mierzyły odległość furtki od skrzyni i skrzyni od wozu, wreszcie wpiły się z jakąś dziką przenikliwością w twarz strażnika, który, boki do więźniów zwrócony, stał przed altaną i prowadził z kimś spokojną gawędę, brząkając od czasu do czasu kluczami na znak obecności i czujności swojej.

Tymczasem w bramę wjechał drugi wóz z kapustą.

— Jechać tam!... Jechać dalej!... — rozległo się wołanie.

Parobek w czerwonym lejniku, który dopiero czwartą kopę liczył, odwrócił się i huknął:

— A gdzie ci to pojedę?... Na łeb?... Nie widzisz, że skrzynia? Ślepyś?...

— Prrr... prrr... — dało się słyszeć w samym sklepieniu bramy, a wóz zatrzymał się w połowie drogi, że mu tylko koła na ulicy pozostały.

Obaj parobcy zaczęli teraz hałaśliwie deliberować, jak wykręcić skrzynię, żeby wozy mogły w podwórze wjechać.

— O laboga! — przemówiła nagle Janowa — tak mi się coś w oczach migło, jakby nasza świnia... A skocz no Józek do chlewiku, obacz, czy się maciora nie wywarła kędy... Ino duchem, na jednej nodze.

Chłopak w chwilę był z powrotem.

— Co się tam miała wyrzucić. Taka obżarta, że się ruchać nie może... Układła się w słomie i leży, a prosiaki przy niej jak pijawki wiszą.

— A tak mi się coś siwego migło między końmi. O tu! — pokazywała Janowa, stanąwszy w pobliżu wąskiego przesmyku, jaki między skrzynią a wozem pozostał.

¹⁰szaflik — drewniane, okrągłe naczynie z uchwytemi. [przypis edytorski]

¹¹perkalowy — zrobiony z perkalu, cienkiego płótna bawełnianego. [przypis edytorski]

— Przewidziało się Janowej i tyle — odrzekła niańka, podejmując na nowo swoją jednostajną piosenkę.

— Ale!... Co mi się miało przewidzieć? Przecie człowiek nie pijany. Jak Boga Kocham, tak akuratnie między końmi coś siwego przeleciało. Pies nie pies, świnia nie świnia, żebym tak zdrowa była.

W tej chwili strażnik rzucił okiem i nie zobaczył, górującej zwykle nad innymi, czarniawej głowy Cygana.

— Cygan!... Gdzie Cygan?... — wrzasnął, przeskakując do wpółotwartej furtki.

Aresztanci spojrzeli po sobie; Cygana nie było.

— A to musi nie co, ino ten ladaco świsnął bez bramę pod wozem — mówiła Janowa, klasnąwszy w dłonie. — Jak mi Bóg miły, takem go widziała. Ino mi się mignął... Jeszcze myślałam, że świnia.

— A żeby was najjaśniejsze!... — wrzasnął strażnik, chwyciwszy się za głowę.

W podwórzu sądny dzień nastał. Aresztantów spędzono w jednej chwili w korytarze, pogoń za zbiegiem rzuciła się w ulicę.

— Łapaj!... Trzymaj!... — rozległo się najpierw z bliska, potem coraz dalej, dalej.

O sto kroków może od więzienia leżał siwy kubrak, pod murem nieco dalej leżała czapka.

Nie było teraz wątpliwości, w którą stronę uciekł Cygan. Jakoż w chwilę potem Filip, ojciec Józka, zobaczył Cygana, jak w koszuli i w hajdawerach¹² leciał, jakby go wiatr unosił, ziemi ledwo dotykając stopami...

Okrzyknęła się pogoń ponownie, a zbieg pędził przed tym okrzykiem, jakby mu w dwoje tyle ręczności¹³ przybyło.

Zła jego gwiazda trzymała go wszakże ciągle w prostej linii na oczach goniących. Biegł jak strzała szybko i jak strzała wciąż prosto przed siebie. To go zgubiło.

Okrzyki goniących dościgały go coraz bliżej, a przestrzeń, która go od nich dzieliła, zmniejszała się co chwila.

Wtem padł, a choć się w tejsze sekundzie niemal porwał z ziemi i znów pędził dalej, znać było, że siły jego bliskie były wyczerpania.

Biegł wszakże jeszcze chwilę, coraz wolniej, wolniej, nareszcie jakby sam czując, że nie ujdzie — odwrócił się nagle i stanął twarzą w twarz przeciw pogoni.

Był straszny. Oczy jak pochodnie, twarz trupio ściągnięta, zęby wyszczerzone jakby do kłosa. Na ustach nieco krwawej piany. Filip dopadł pierwszy. Chwycił go Cygan za ożydla¹⁴, zaszamotał nim i cisnął o bruk jakby powięź¹⁵ słomy. Za Filipem przypadli inni. Zbieg bronił się rozpaczliwie. Gryzł, darł, pięściami o łby grzmocił, kopał — był wściekły.

Aż go nasiedli w sześciu czy w siedmiu jak dzika, a obaliwszy na ziemię, zgnetli mu kolanami piersi, pokrwawili go, poszarпали na nim koszulę i tak zmordowali, że trzeba go było do więzienia na rękach nieść niby martwe brzemię.

Kiedy się ocknął w ciemnej¹⁶, cały drżący i mokry od wylanych na niego kubłów zimnej wody, zawołano go do kancelarii. Jeszcze wszakże pan nadzorca nie zdążył przysiąść i zapalić cygara, które miało mu służyć do umilania przykrej konferencji, jeszcze je ślinił, obracając w pulchnych palcach pomiędzy grubymi i pięknie zarysowanymi wargami, kiedy w progu stanęła pod przywództwem strażnika deputacja poważna, bo z samych recydywistów i najstarszych złodziei złożona.

Dwóch posługaczy trzymało tymczasem pod pachy Cygana, który ustać na nogach nie mógł, chwiały się cały i co chwila ocierał pot z bladej jak chusta twarzy.

Pan nadzorca zmarszczył czoło i, wydawszy policzki, patrzył ku drzwiom pytającym wzrokiem.

Trzech z deputacji podstąpiło do zielonego stołu i pocałowało „wielmożnego” w rękę.

— A co to powiecie? — zapytał, udobruchany tą oznaką pokory, dygnitarz.

— A to dopraszamy się łaski wielmożnego pana — przemówił Wiewióra, prowodyr recydywistów, który już zęby zjadł na więziennym chlebie — co byśmy mogli Cygana sami

Ucieczka, Więzień

Więzień, Walka, Bijatyka,
Rozpacz

Więzienie, Kondycja ludzka,
Pozycja społeczna, Władza

Władza, Więzień, Kara,
Sąd, Hańba, Honor

¹²hajdawery (daw.) — bufiaste spodnie. [przypis edytorski]

¹³ręczność — prędkość, szybkość. [przypis edytorski]

¹⁴ożydla (daw., gw.) — kłapa surduta, sukmany czy kamizelki. [przypis edytorski]

¹⁵powięź (daw.) — wiązka, pęto. [przypis edytorski]

¹⁶ciemna — karcer więzienny. [przypis edytorski]

bez się sądzić. Wszystkim on nam wstydu zadał i wszystkich przed oczami wielmożnego pana i ojca naszego w brudną koszulę obłócił. Nie będzie tera żadnej swobodności dla porządnego haresztanta i wszystko się skurczy. Dość już było ciężko (tu głośne stęknienie pozostałych u drzwi deputatów), tera będzie jeszcze ciężej.

— Oj, co ciężko, to ciężko! — przerwał piskliwym głosem najbliżej stojący Żeglarek.

Drugie, jeszcze głośniejsze stęknienie deputatów u proga.

— Tak my przyszedli prosić i dopraszać się wielmożnego ojca i dobrodzieja, co byśmy mu karę sami wysądzieli, wedle naszego zrozumienia i po sprawiedliwości...

— No — przemówił wahająco pan nadzorca — dobrze to jest, ale cóż wy z nim myślicie zrobić?

— A zbić, wielmożny panie — odparł Wiewióra głosem szczerego przekonania o doskonałości tego środka. — Na takiego, wielmożny panie, gałgana, to nie ma jak bicie. A co on, wielmożny panie? To on pierwszy się tu popadł i będzie wszystkim zaproszenie oczów robił? Wielmożnego pana martwił? Ojca, matki nie szanował, więzienia nie szanował, to co na takiego jak nie baty?... On i porządnego bata niewart! Żeby jego choroba!

Tu splunął mówca, a retoryczna ta figura pobudziła deputatów do nowych wzdychań u progu.

Pan nadzorca bębnił palcami po stole. Był on w położeniu arcydelikatnym. Z jednej strony uśmiechało mu się takie zakończenie tej niemiłej sprawy, z drugiej miał skrupuły co do legalności podobnego jej obrotu. Na szczęście przypomniał sobie, że czytał gdzieś niedawno, jako w Ameryce nieraz sami przestępcy wymierzają karę na swych towarzyszy. To go uspokoiło od razu. Owszem, nadało myślom jego bieg górny i wzniosły. Czuł się inicjatorem nowych idei w społeczeństwie, idei z Nowego Świata. Czuł się humanistą na wielką skalę.

Wydał tedy świeżo ogolone policzki, co uwydatniło piękny jego podbródek, i odsapnął kilka razy z zupełnym zadowoleniem.

Cygan tymczasem pochylił głowę na piersi i przyknął zagasłe oczy. Wszystkie muskuły jego bolesnej twarzy drgały. Zdawało się, że jest bliski omdlenia.

— Dobrze to jest — powtórzył pan nadzorca — ale niechże kara nie będzie lżejsza od tej, jaką bym mu sam naznaczył.

Mówił to, aby coś powiedzieć. Przekonany był bowiem, że wydaje Cygana w ręce ciężkie i nieublagane.

— Niech już wielmożny pan na nas się ubezpieczy — pokłonił się Wiewióra. — Już my go tam tak oporzędzimy, co by mu się odechciało na drugi raz. Już my go...

Nie skończył. Pan nadzorca podniósł się z fotela.

— Jakub! — zawołał na strażnika — wyprowadzić go im na górny korytarz. Niech i insi posłuchają dla swojej nauki. A potem do mnie tu, do kancelarii, to mu sumienie roztrząsnę.

Jakub zwrócił się lewo w tył, pacholki popchnęli Cygana, a deputacja przystąpiła do ucałowania ręki „wielmożnego”, który teraz dopiero mógł swobodnie zapalić cygaro i przejrzeć dzienniki.

W chwilę potem na górnym korytarzu rozległ się krzyk ostry, przeciągły.

Władza, Więzienie, Ironia

Kara, Okrucieństwo

Jedną z najmilszych czynności pana nadzorcy było roztrząsanie sumień aresztanckich. Posiadał on cały zapas przemówień moralnych w wielkim religijnym i społecznym stylu, całą kopalnię przestróg wzruszających, cały skarbiec pięknie zaokrąglonych zdań i budujących maksym. Stanowiło to jego specjalność i przedmiot prawdziwego dyletantyzmu¹⁷. A czynił to wszystko z natchnienia, bez uprzednich przygotowań, improwizował po prostu. Przy improwizacji takiej sam bywał niezmiernie wzruszony, a drżący z lekka głos jego i oczy, mgłą wilgotną zaszele, pobudzały do skruchy wszystkich, którzy się już do winy przyznali.

Stąd uważany był za urzędnika prawdziwie użytecznego, a to uznanie zasług pobudzało go do nowych wysiłków krasomówczych.

Tym razem wszakże wymowa pana nadzorcy nie znalazła odpowiedniego zastosowa-

Władza, Więzienie,
Urzędnik, Sumienie

Więzień, Choroba, Śmierć

¹⁷dyletantyzm — tu raczej w znaczeniu: zamięłowanie. [przypis edytorski]

nia. Cygan bowiem zaraz po egzekucji swojej stracił przytomność, a potem wpadł w taką gorączkę, że go jeszcze tej samej nocy do lazaretu¹⁸ przenieść musiano.

Leżał tydzień, leżał dwa tygodnie, pluł, kaszłał, kwękał, skarżył się, że go w piersiach, to w plecach, kłuje i wychudł strasznie. Zawłókl się nareszcie do swego tapczana i pochylony, zestarzały, więcej do cienia niż do człowieka podobny, pod numer poszedł. Ale tu pogorszyło mu się raptownie. Dostał dreszczów, gorączki, krew mu się ustami rzuciła, aż trzeciej coś nocy umarł nad ranem, nie obudzwszy ani jednym jękiem żadnego ze swoich sąsiadów.

Teraz dopiero zaczęto przebąkiwać, że Wiewióra zanadto mu „dołożył”. Młodszy zwłaszcza „frajery”, których zwykle recydywiści we wzgardzie i poniewierce mają, burzyli się po kątach.

— Jużci to nie po katolicku tak człeka zbić, żeby go aż ubić — mówił jeden.

— Przecie go nie ubili na piękne...

— Nie ubili na piękne, ale w nim wszystkie wątpia¹⁹ het precz oberwali. To jakże miał żyć? Musiał umierać.

Tymczasem w kancelarii przygotowywano raport, jako taki a taki więzień na gorączkę czy też febrę umarł. Właśnie podyktował był pan nadzorca powyższe słowa pomocnikowi swemu, kiedy ten rzekł:

— Kiedyż mu się wyrok miał skończyć?

— Tak na pamięć nie można wiedzieć — odparł „wielmożny” — ale przecież to wszystko podług księgi idzie. Jakub, podaj no księgę!

Podał Jakub czarno oprawny wolumin, a pan sekretarz przerzucać go zaczął.

— A to co? — zawołał nagle i podniósł wzrok na pana nadzorcę, wskazując palcem datę.

Pan nadzorca spojrział niedbale przez ramię. Spojrzął i, raptem zerwawszy się z fotela, utkwiał przerażone oczy w twarzy pana sekretarza. Chwilę trwało to milczenie, podczas kiedy tych dwóch ludzi przenikało się wzajemnie wzrokiem.

— Tam do licha! — zawołał wreszcie pan nadzorca, zapomniawszy zupełnie o obecności Jakuba. — A toć się jemu wyrok skończył blisko na dwa tygodnie przed ową ucieczką...

Stał jeszcze chwilę i patrzył osłupiały przed siebie.

— Diabli go wiedzieli! — wykrzyknął wreszcie, rzucając się w fotel.

I nie było już więcej o tym mowy.

Przez parę wszakże następnych tygodni drzwi kancelarii nie zamykały się prawie. Od samego rana pukanie pod numerami.

— Czego tam? — pyta niecierpliwie strażnik.

— Otwierać no! Otwierać! Muszę iść do kancelarii.

— A co tam? — pyta pan nadzorca wchodzącego aresztanta w towarzystwie strażnika.

— A to, proszę wielmożnego pana, przyszedłem się dowiedzieć wedle wyroku, bo może mi się już skończył.

— Cóż znowu! — mówił zmieszany „wielmożny”. — Przecież masz w wyroku dwa lata, a siedzisz dopiero półtora.

— Tak ci to niby jest, wielmożny panie, ale chciałbym wiedzieć dokumentnie²⁰ według księgi...

Pan nadzorca przygryza czerwone, pełne wargi, żeby nie wybuchnąć.

Po chwili znowu ta sama historia. Za kwadrans — znowu. Dziewięciu, piętnastu, dwudziestu wali naraz we drzwi, wszyscy wołają strażnika, wszyscy chcą iść do kancelarii. Jakub biega od numeru do numeru, krzyczy, prosi, traci głowę, nareszcie najciekawszych prowadzi do kancelarii.

— Proszę wielmożnego pana, przyszliśmy się dowiedzieć wedle wyroków, bo może już się nam pokończyły...

— Idźcie do diabła z waszymi wyrokami! — krzyczy w ostatniej pasji pan nadzorca.

— A to człowiek nawet spokojnie odetchnąć nie może.

Było to właśnie po obiedzie.

¹⁸lazaret — szpital wojskowy lub więzienny. [przypis edytorski]

¹⁹wątpia (daw.) — wnątrności. [przypis edytorski]

²⁰dokumentnie — dokładnie. [przypis edytorski]

Więzienie, Władza,
Urzędnik, Prawo, Strach,
Krzywda

— Ale my chcieli zobaczyć księgę. Ja umiem czytać.

— I ja...

— I ja...

Pan nadzorca czuje się złamany. Każe Jakubowi podawać księgę, pokazuje palcem daty, tłumaczy. Aresztanci kręcą głowami z niedowierzaniem. Jeden z nich udaje, że czyta. Wychodzą wreszcie, aby powrócić jutro, pojutrze, za tydzień. O biedny Cyganie! To była twoja pomsta!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/konopnicka-podlug-ksiegi>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, *Obrazki więzienne*, wyd. Arcanus, Bydgoszcz 1990.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: *Żarnowiec* : Marya Konopnicka na werandzie., autor nieznan, domena publiczna

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do [Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur](#) i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).